



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEĆ.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

Ekspedycja główna w księgarni wydawcy  
Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmid  
kwartal. flor. 3, na prowiny z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.

W Krakowie: u D.E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowiny z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.

W W. Rs. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

### POGRZEB BIEDAKA.

Koń, długim kirem całunu okryty,  
Cieżar ubogiej trumny włóknł powoli;  
Na rogach ulic stawały kobiety  
A widać było, jak je serce boli,  
Że nikt z idących za tą trumną biedną  
Nie zdradził żalu, choćby łezką jedną.

Szła mała garstka ludzi obojętnych,  
Nie strzegąc cechy żalobnej pochodu:  
Ten był ciągnięty siłą wrażeń smętnych,  
Ten, że zmarłego znał niegdys zamłodu,  
Trzeci chciał spełnić pobożny uczynek,  
Czwarty dziad, dostał grosz za wypominek.

Więc szli powoli za owym pogrzebem,  
Pacierz szepejący, albo zadumani,  
Pod ołowianym od szarych chmur niebem,  
Chłodnem jesieni powietrzem owiani;  
A gdy ciągnęli mimo mojej drogi  
Ktoś rzekł:—Nieboszczyk był człowiek ubogil..

Tak—pomyślałam—bo chwila pogrzebu  
Jest to ostatni z życiem obrachunek:  
Duch już gdzieś uszedł, wleciał gdzieś ku niebu,  
Ale ziemskiego bogactwa szacunek,  
U mar się czyni.... znać żył ten ubogo,  
Kto w grób nie może mieć łzy od nikogo!....

Dawniej kładziono w mogiłę sprzęt różny,  
Rycerzom oręż, klejnoty kobiecie,  
Aby w kraj cieniów idący podróżny  
Coś z tego świata miał na tamtym świecie,  
I u wieczności znalazłszy się proga,  
Jakiś skarb przecież niósł przed oczy Boga.

Duch w obec innych duchów czuł się dumny,  
Stając się w niebie przez ziemię bogaty;  
Dzisiaj lęz tylko trzeba wziąć do trumny,  
Lęz tylko trzeba nieść z sobą w zaświaty,  
Gdy komu przecież brak tej perły drogiej,  
Czyż mu i w niebie powiedzą:—ubogil!....

Może.... Wygłoszą może chóry święte,  
Że mądrość życia jest i życia cnota,  
Że jest zasługą szczęście osiągnięte,  
Bo uczuć cicha daje je prostota.  
Więc ci przed Bogiem możnymi zostaną  
Co tak umieli żyć, że ich kochano!

M. Ilnicka.

### RODZINA

jako stowarzyszenie się do szczęścia.

(Dalszy ciąg).

Wypowiedzieliśmy przekonanie, że władza rodzicielska nie jest dziś dość silną, że się znajduje w rozstroju i nie działa zgodnie z początkiem i celem

swoim. Doprowadziła nas do tego przekonania obserwacja faktów życia rodzinnego, faktów, które każdy zarówno widzieć może, aby według nich przeświadczenie w sobie wytworzyć. Oczywiście dowodzić nie będziemy. Czujemy ją wszyscy na około siebie i w sobie—we własnych swych rodzinach. Widziemy brak planu wychowawczego i niedostateczne zajmowanie się dziećmi; widziemy pobłażliwość dla dzieci złączoną z ich zaniedbywaniem. Patrzymy codziennie na te dusze dziecięce słabe, wątłe, wypuszczane samopas na drogę życia, na te nie-dojrzałe owoce, w których się jeszcze pestka rozumnej woli wyrobić nie zdołała. I widzimy przytem wszystkim i uznajemy istnienie siły żywej: miłości rodzicielskiej. — Bo któżby dziecka swego nie kochał! Rodziców ze świadomością złego postępujących niema chyba, w naszym społeczeństwie przynajmniej. Patrzymy na ojców rodzin od rana do wieczora pracujących dla dobra dzieci, poświęcających życie na pracę, najczęściej i prawie zawsze pozadomową, dla przysporzenia dzieciom majątku. Podzielamy całym sercem troski rodziców przed każdym rokiem szkolnym, kiedy przepełnienie zakładów naukowych publicznych, obudza obawę o to, aby dziecko nie zostało bez nauki. Majątek i oświatę dają rodzice dzieciom swoim, czują bowiem ich potęgę zdobywczą, zapewniającą byt spokojny w społeczeństwie; czują dolegliwości własnego niedostatku i ciemnoty i pragną od nich dzieci swoje uchronić. Przyrabiają dzieciom i nauki i majątku nie dla własnej tylko przyjemności i pychy, ale dlatego, że te dzieci swoje chcą widzieć majątniejszemi i oświeconiejszemi od siebie. — Rozrzewnia prawdziwie poświęcenie rodziców uboższych, którzy ograniczając swe potrzeby, odrywają sobie strawę od ust, i łożą na to, co się nazywa wychowaniem dzieci, a co właściwie jest tylko mniejszą wychowania połową.

Nie byłoby tych objawów dodatnich bez miłości rodzicielskiej—tak jak bez niej nie byłoby też i wielu ujemnych. Miłość rodzicielska uważana nie jako ideał, ale jako siła konkretna, istotnie w życiu



działająca, wydaje dziś z siebie i złe i dobre; jest w większej części wypadków ślepa i nie przebiera w kierunkach. Pod jednym względem krzywdą dzieje się dziecku przez zbytek, pod innymi znowu przez brak miłości rodzicielskiej. W początkowych latach życia dziecinnego wystarczy miłość ślepa, w późniejszych będzie ona władzą bezprawną i bezsilną, jeśli jej światło rozumu nie oświeci, a inna miłość wyższa, miłość człowieczeństwa i ludzkości nie ureguluje i na tory właściwe nie wprowadzi. Pomimo największej, najsilniej natężonej miłości—mogą być obowiązki rodzicielskie niespełnione, bo do spełnienia ich potrzebny jest plan wychowawczy, całość istoty ludzkiej obejmujący, a wyprowadzony ze zdrowego rozsądku i uczuć moralnych. Inteligencya prostego wieśniaka plan taki wydać z siebie może, jeżeli sama stojąc na wysokości zdrowego rozsądku, znajdzie podporę w owej wyższej miłości, w przywiązaniu do prawdy i sprawiedliwości.—Bóg nie chciał utrudniać wychowania; Bóg chce je mieć *funkcyj*—my sami czynimy je *szukaj*.

Nie, zaprawdę, nie jest żadną eleuzyjską mądrością to, co rodzice wiedzieć powinni, aby wychować swe dzieci. Gdyby żyli z niemi ciągle, jak najwięcej, gdyby w domu szukali częstszych, istotniejszych przyjemności niż za domem, gdyby matki mniej myślały o zabawach tańczących i nie tańczących, a ojcowie mniej o preferansach i czytaniu gazet, które trwając całymi godzinami, zamieniają się w nudne, automatyczne siedzenie nad wielkimi płatami papieru, gdyby tylko na dzikich płonkach miłości rodzicielskiej chcieli szczepić wolę i cierpliwość działania edukacyjnego: wiedza prędko by się znalazła.—Chcieć tylko potrzeba—aby wiedzieć i umieć, ale wykształcenie tej woli stanowi właśnie największą trudność. Wola ta na wewnętrzne potrzeby rodziny wykształcić się mająca, doznaje przeszkód z zewnątrz, od owego na wstępie scharakteryzowanego prądu wieku. Do zbytniego gonienia za dobrami materialnymi przyłącza się rozstrój w świecie idei moralnych. Są uczucia, które bezwzględnie być powinny i wyłamują się z pod wszelkiej analizy czysto logicznej. My tymczasem ulubioną dziś metodą indukcyjną, dla rzekomej gruntowności badania, odtrącamy na bok moralność i uczucia te za podstawę jej służące analizujemy, wywracając przez to samą jej budowę.—Gdy skończywszy analizę czysto logiczną, zaczynamy budować własną nową teorię na miejsce dawnej, okazuje się, że mamy wszystko przygotowane do konstrukcji z wyjątkiem gruntu, któryśmy analizą rozorali. Dusza raz utraciwszy wiarę w bezwzględność, nieograniczoność tych uczuć podstawowych, nigdy jej potem nie odnajdzie, a bez niej nigdy już do moralności nie trafi.—Z nauk przyrodzonych, uprawianych przez dyktantyzm—który i u nas znalazł był dla siebie organa w pismach redagowanych przez młode, niecierpliwie narzucające się z wiedzą świeżo zapożyczoną umysł—wieje na społeczeństwo i na rodzinę duch materializmu. Nie zamykajmy oczu na niebezpieczeństwa tej doktryny uwagą, że przecież bywali i bywają materialistami ludzie uczciwi, prawi. Nie myślę temu przeczyć—sądzę tylko, że materialści są prawi, nie powiem, moralni, dla samych siebie. Prawość ich jest bezpłodna: nie udzieli się nikomu, niczego z siebie nie wyda. Materialista będzie dobrym dla tego, aby być spokojnym—spokoju bowiem potrzebuje do istnienia na ziemi. Jego moralność przejawia się w dążeniu do równowagi duchowej, nie zaś w poszukiwaniu dobra dla dobra—co jest fundamentem prawdziwej moralności. Materializm opiera swoją prawość na egoizmie; moralność prawdziwa opierać się powinna na miłości, na uczuciu nie kierującym się wcale względami osobistego interesu: gdzie się bowiem interes osobisty zaczyna—tam moralność ustaje. Materializm nie uznając duszy ludzkiej za istotę duchową, lecz upatrując w niej kombinację sił fizycznych—nie może w sobie wyrobić potęgi umoralniającej, bo żeby umoralniać trzeba przedewszystkiem widzieć przed sobą osobistość ludzką—samoistną i odpowiedzialną, a na to materialści nigdy się nie zdołają. Wpływ zatem doktryn materialistycznych w łonie rodzin przejawiać się musi, jeżeli nie czem gorszem, to przynajmniej zaniedbaniem edukacji moralnej.—Dziecko zostawione będzie własnym siłom, jak reorta z różnymi substancjami chemicznymi, mającymi wydać z siebie pewien związek, którym ślepe

prawa natury kierują. Platonskie: „Bądź Bogu podobny!” brzmi jak pusta ironia w obec tego aparatu materialistycznego. Wiara w Boga, ta kotwica moralności, obcą jest materializmowi, tak jak obcą mu jest wiara w duszę: z tej niewiary tamta tylko wypłynęła. Czego więc materializm nauczy? Oto obciosa egoizm tak, aby mu nie było niewygodnie w społeczeństwie; wyrobi z dziecka dobre karne zwierzę społeczne; da mu żądze i środki do poszukiwania uciech, za jakimi sam goni. Ojcowie, mający jeszcze do wychowania dzieci młode! odrzućcie przynajmniej na czas edukacji wszystkie mądrości przedstawiające wam cuda i wszechwładztwo materii! Na mądrość, na zdobycie tej wiedzy, o której powiedzieć trzeba to, co poeta powiedział o melancholii, że jest kamieniem ludzi topiących się—na taką mądrość będziecie jeszcze mieli dość czasu, gdy wychowacie swe dzieci!..

Nie wiemy czy można niezawodnie na karb materializmu położyć teorię obojętności wychowawczej, ateizmu rodzicielskiego, teorię prowadzącą do zupełnego upadku, do sponiewierania władzy ojcowskiej, ale teoria taka zaczyna się już w pośród nas przejawiać. Kiedy w pierwszej rozprawie rozpoczynającej wydawnictwo pedagogiczne „Opiekuna domowego“, autor mając przed oczyma to smutne zjawisko indyferentyzmu rodzinnego, starał się postawić dowód potrzebę kształcenia popierający—w rozmowach prywatnych słyszeć się dały liczne dość głośno o rzeczywistości samego objawu społecznego powątpiewające. Tymczasem obserwacja autora rozprawy: „Co wychowanie z dziecka zrobić może i powinno“—była zupełnie trafna. Coraz więcej mamy takich rodziców, szczególnie ojców, którzyby radzi zdać wszystko na wolę Boga: „Jakoś to będzie—samo się zrobi, natura sama ułoży się do równowagi—sama da dziecku wzrost duchowy tak, jak mu daje fizyczny“. Po za tym fatalizmem kryje się w jednym wypadku rozleniwienie ducha, który w teoryje dogodnej znajduje dla siebie pokrywę. W całości swojej, w sumie wszystkich wypadków, zjawisko przedstawia się jako bardzo pokrewne owej doktrynie materialistycznej, zostawiającej wolny bieg siłom natury.

Obok ślepej, a niezawsze mającej się czynu miłości rodzicielskiej, oraz filozoficznych przekonań wieku, występuje jako trzecia przyczyna osłabnięcia węzłów rodzinnych i upośledzenia władzy ojcowskiej—nadmierne dążenie do zdobywania bogactw. W stanach wyższych, pracujących, zajmuje ono ojcom czas całodzienny, zostawiając niekiedy godzinę zaledwie na wypoczynek. Praca wzbogająca dokonywa się za obrębem rodziny—i ojciec raz się jej oddawszy, straconym jest już dla swych dzieci jako przewodnik.—Matka, jeśli nie uważa dzieci za zabawki, lecz za istoty żywe mające prawo do pracy rodzicielskiej, podejmuje ster porzucony i jak może stara się być nie tylko opiekunką córek dorastających, przewodniczką dzieci do lat 7—co z porządku rzeczy wynika—ale jeszcze zwierzętniczka chłopców już dorosłych, rozjemczynią ich sporów, korektorką moralną błędów, wad i nałogów; pośredniczką między władzą szkolną a dzieckiem, nawet informatorką w wyuczaniu się lekcji, o ile korepetytor zostawił jeszcze wątpliwości: słowem, na matkę uczciwą, pojmującą obowiązki wychowawcze, spada cały ciężar trudu, jaki Bóg przeznaczył na oboje rodziców, wydzielając każdemu z nich część naturze jego odpowiadającą. Matka, chociażby była jak najlepiej umoralniona, to jest miłującą prawdę i dobro, rozwiniętą wysoko umysłowo, kochającą dzieci i pracowitą—sama jedna ciężarowi nie podoła. Rzadko kiedy uda się jej wychowanie charakterów męzkich—wychowanie trudne i z tysiącami tajemnic psychologicznych złączone, jakich dusza kobiety we własnym doświadczeniu odgadnąć nie miała sposobności.—Przytem wymiar sprawiedliwości karzącej na starszych chłopców przedstawia przykrość dla matki a niebezpieczeństwo dla dziecka, przywrażliwości natury kobiecej zamykające się głównie w pobłażaniu.—Ojcowie zamożni, a pomimo to dorabiający dzieciom swoim majątku, krzywdzą te dzieci, krzywdzą społeczeństwo, zbierając dobra materialne, wypuszczając zaś z rąk inne, których dziecko, bez wyjątkowego obdarowania przez Boga, nigdy już samo zbierać sobie nie będzie w możności.—Ojcowie dzisiejsi chcą jako spadkodawcy wy-

nagradzać dzieci swoje za to, czego im nie dali z tytułu rodziców.—W niezem charakterystyczniej nie przebijają się materializm wieku, jak w tem odważaniu na jednej wadze: pieniędzy i moralności, w tem zastępowaniu szczęścia duchowego—zmysłowem, a wewnętrznej dzielności—zewnętrzni warunkami działania.

Leż razy w życiu dziecko, gdy do samowiedzy przyjdzie, mówić sobie musi, że największym majątkiem człowieka jest charakter, t. j. to, czego ono właśnie od rodziców swoich nie otrzymało! Lecz ojcom zdaje się, iż wszystkie obowiązki spełnili, gdy dawszy dzieciom ogładę umysłową, wsypią im potem trochę grosza do kieszeni. Albo co znaczy, gdy dając naukę i majątek nie dadzą zdrowia czerstwego, nie zaprawią stosownym wychowaniem organizmu do trudów fizycznych, do przejść życia, męczyzną zarówno jak i kobietę czekających?—Nie—nie spełnia obowiązków swoich ojciec, który zaniedbując wychowanie istoty ludzkiej, daje jej tylko sposób do łatwego życia—bo niezem innym nie jest majątek dziedziczny, przekazywany przez ojca synowi i nauka udzielana w widokach praktycznego spożytkowania.

Opuszczanie domu, samowolne expatryowanie się z rodziny, ciężkim jest grzechem—a dziś nabrało ono już znaczenia faktu powszechnego w klasie rzemieślniczej (zasobniejszej) kupieckiej i przemysłowej.—Życie rodzinne przez takie odbieganie ojców od ogniska domowego—popada w coraz większą niemoc. Pobłażliwość dla dzieci, poufałe stosunki ojców z synami zaledwie ośmnastoletnimi, pokrywane pozorami teorii o poszanowaniu człowieka, znajdując źródło swoje w niedołęzcie władzy ojcowskiej, w jej bezczynności. Ojciec, który nie sprawuje władzy (faktycznej edukacyjnej nie jurydycznej) nie może też używać i powagi, jaką majestat tej władzy jest spromienionym i jeśli posiada temperament łagodny, w chwilach wolnych od zajęć stara się być przyjacielem, towarzyszem, niemal kolegą swego dziecka.—We wzajemnym stosunku znika szczytna godność nauczyciela, nie widąc w nim duchowego panowania rodzica nad dzieckiem. Jeśli ojciec jest kolerykiem, człowiekiem gwałtownego usposobienia, władza jego objawiać się będzie w wymiarze sprawiedliwości doraźnej—nie zawsze sprawiedliwej, bardzo często zaspakajającej tylko ambicję urażoną sędziogo.—Są to prawdy smutne, przykre niezmiernie do wypowiedzenia—ale prawdziwie opędnąć się trudno. Wykazujemy tutaj strony ujemne dzisiejszego życia rodzinnego nie dla miotania oskarżeń, ale dla podsycenia rozmyślań krytycznych, jakim niejedna dziś już inteligencya ulega. Z silnych rodzin składają się silne społeczeństwa. Jeśli rodzina ma być szkołą moralności pojmovanej w najobszerniejszym i zarazem najszlachetniejszym znaczeniu, jako uprawa serca i woli przeciwstawiająca się uprawie rozumu,—to bez głębszego wejrzenia w jej stosunki ogólniejsze, mające znaczenie dla społeczeństwa, bilansu jej działalności ułożyć niepodobna. Życie samo winne jest temu, że przynosi fakta nie pocieszające.—Być prawdziwym dobrym ojcem, to jest wykształcić wszechstronnie charakter dziecka—to godność najwyższa, praca najcięższa, rozkosz najczystsza. Czynieć człowieka „Bogu podobnym“ jak chce poganin Platon, stawiający już ideał cnoty chrześcijańskiej—któżby się poważył!—ale uczynić istotę ludzką człowiekiem, przeprowadzić ją od natury do ducha, od mgieł zwierzęcości—do zorzy samopoznania, przyzwyczać ją do prawdy, przejąć miłością dobra, przykuć do wielkiego łańcucha ludzkości, jako jedno z ogniw nie psujących zgody—dać światu widok pięknej duszy młodzieńczej, nie ulegającej ułomnościom i niemocom ciała:—jest to, zaiste, najpiękniejszy poemat, najwyższe szczęście na ziemi! Do takiego szczęścia Opatrzność przeznaczyła rodzinę.

(Dalszy ciąg nastąpi).



# NIEWIASTA POLSKA

## W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA

(1800—1830 ROKU)

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg).

Rozmowa tajemna. — Wyjazd do Borowa. — Baronowa Eissenwein. — Młoda Jadwiga. — Hrabia Adam. — Ślub nieprawy. — Poznanie panny pułkownikówny. — Hrabina Klara. — Ostatnie chwile Jadwigi. — Mały Stefanek. — Wyjazd do Jabłonki.

Kiedy Chromiński stanął w pokoju przed hrabiną Klarą, obejrzał się z niepokojem w oko, czy kto nie słucha, a na zapewnienie, że są sami, wznosił oczy w niebo, jakby szukał natchnienia i cichym głosem mówił:

— Żeby pani moja wiedziała wszystko, muszę zacząć od dawnych wspomnień, ale to jest tajemnica wiadoma tylko Bogu, a dziś i pani.

— Pani Pawle! — odrzekła — możesz być pewnym, że dochowam jej święcie.

— O wierzę! wierzę! — zawołał — bo ty pani jesteś najszanowniejszą w moich oczach niewiastą!

A gdy Klara spuściła oczy... mówił dalej:

— Co teraz powiedziałem, jest to głębokie moje przekonanie, taką była moja święta, a matka hrabiego Adama. I ona cierpiała... ale nie ma chwili do stracenia: tam czeka konająca i sierota!

— Co pan mówisz — zawołała przestraszona Klara — gdzie jest? wzywa mej pomocy?

— Tak pani! ty jedna tylko dasz jej spokojne skonanie.

— Wszystko zrobię — ale mów pan, na Boga!

— Potrzeba bezwzględnie nam wyjechać, bo to cztery mile drogi. Pani uprzedzi hrabiego, że jedziesz do rodziców, ja natychmiast zostawię konie do przepzęgu. Czekam stanowczego słowa pani hrabiny. Tam nas, dodał uroczyście głosem, wzywa matka twego męża, pani! — obowiązki sumienia i honor hrabiego, a może i przyszłość twoja, pani!

Spojrzała uważnie na mówiącego: jego twarz szlachetna, zapał, który go ożywił, wreszcie głos jakiś tajemniczy, wszystko spowodowało, że podając mu rękę, wyrzekła stanowczo:

— A więc jedźmy, ufam ci panie Pawle!

— Droga pani, za chwilę wszystko będzie gotowe do podróży. Niech ci Bóg zapłaci za dobry, święty uczynek.

Klara śpiesznie przygotowawszy sama potrzebne na drogę rzeczy, pośpieszyła do męża uwiadomić go o wyjeździe i pożegnać, ale Jacenty oświadczył, że pan hrabia po niespokojnej nocy zasnął twardo.

— Powiedz że więc mężowi, że jadę do rodziców na dni kilka i czuwaj nad nim.

— Może spokojnie pani hrabina odjechać, ja kocham pana mojego — odrzekł z głębokim ukłonem Jacenty.

Bitym gościńcem poprzedał bryczką swoją Chromiński, pędzący za nim pojazd hrabiny. O dwie mile w folwarku należącym do dóbr Jazdowa, czekały już nowe konie na przepzęg. We trzy godziny ujrano wieś Borowo, która była kresem podróży.

Pan Paweł wysiadłszy z bryczki dał znak i zatrzymał pojazd.

— Pani hrabina raczy tu spocząć chwilę w tej pięknej dąbrowie; konie odpoczną nieco, a ja (dodał ciszej) muszę objaśnić po cośmy tu przybyli.

Gdy wysiadła z pojazdu i weszła pod cienisty namiot, jaki tworzyły gęste gałęzie lip i brzozy płaczącej.

— Widzisz pani ten dwór murowany i ten piękny ogród? W tym dworze umiera nieszczęśliwa istota, zdradzona przez twego męża.

— Co słyszę! — zawołała Klara, błędąc coraz więcej.

— Mówię pani świętą prawdę! Wtedy, gdy z takim zapałem upędzał się o twą rękę, gdy ci oczy

olśniewał przepychem bogactwa i kłamał święte uczucia, tu, u nóg tej biednej, poprzysięgał, że ją kocha, że zawiedzie na ślubny kobierzec... i dotrzymał słowa...

— I dlaczegoż pan tu wezwałeś mej pomocy? — przerwała z lekkim uniesieniem hrabina.

— Dlatego, odpowiedział z mocą, że powinnością anioła ziemskiego błąd a nawet występki męża, o ile można, naprawić.

Klara stanęła jeszcze bledsza, oparła się o drzewo i wyrzekła cichym drżącym głosem:

— Jesteś szlachetnym człowiekiem i zacnym; dziękuję ci za tę ufność. Któż ci myśl podał do wezwania mej pomocy?

— Ta, której dusza czysta, używa w niebieskich świętego spokoju, matka hrabiego Adama.

I opowiedział jej widzenie swoje nocne.

— Więc jestem gotową — siadajmy i jedźmy! — zawołała gorączkowo.

W kilka minut później bryczka i pojazd stanęły przed dworem Borowa.

Pan Paweł wyskoczył pierwszy; na ławeczce w ganku usiadła hrabina smutnie zadumana.

Wież ta była własnością baronowej *Essenwein*, dalekiej pokrewnej hrabiego Adama. Po śmierci pierwszego męża, poślubiła go dla tytułu barona, ale wkrótce rozseparowawszy się z nim, osiadła w Borowie, który kupiła za sumę swoją posażną, przy pomocy hrabiego. Wiele mu zawdzięczając, była też na jego rozkazy. Z jego natchnienia, młoda i piękna *Jadwiga*, sierotę tylko co wyszłą z pensyi i bawiącą u biednych krewnych, wzięła jako pannę do towarzystwa swego.

Jadwisia ze skromnej pensyi i jeszcze skromniejszego mieszkania ubogich krewnych, dostawszy się do dworu baronowej, z całym dostatkim pańskim urządnym, otoczona niezwykłą jej troskliwością, a nawet opieką macierzystą, czuła się jak w raju szczęśliwą. Miała swój oddzielny pokój, dobraną biblioteczkę, kanarki i piękną w złocistej klatce papugę.

Ubiorem jej zajmowała się sama baronowa, nie pozwalając nie wydawać z pensyi, którą jej wypłacała. Powoli z życia pracowitego i gospodarskich zajęć, do jakich była przyzwyczajona, przechodziła Jadwiga w nieczynność i życie więcej oddane marzeniom. Żywa, młoda wyobraźnia, podsycona czytaniem romansów, rozbijała się więcej i w tym stanie jej duszy pokazał się urodziwy hrabia Adam, który przybył do Borowa na dni kilka, do swej kuzynki.

Grzeczność i uprzejmość, jaką Jadwidze pokazywał z początku, zamieniała się coraz więcej w poufałość, a gdy hrabia przeciagał swój pobyt, biedne dziewczę zaczęło uczuwać niepokój serca. Pałace jego spojrzenia, wywoływały żywe rumieńce na świeże jej zawsze oblicze. To wzruszenie nie uszło bystrej uwagi baronowej.

Hrabia czytał dobrze, więc dawał Jadwidze poznać wyjątki poetów polskich i francuzkich, biegle grał na fortepianie i śpiewał dźwięcznym głosem; wszystkie te zalety nie były bez przeważnego wpływu na młodą sierotę, tem bardziej, gdy okazywał wyraźnie głębokie uczucie, które starał się hamować, aż wreszcie uderzyła stanowcza godzina w jego życiu: na kolanach wyznał swoją miłość i poprzysiągł być wiernym do grobu.

Jadwiga jakby pod czarem uroku, nie tała swego uczucia i wzajemności. Był to dzień dla niej szczęścia i radości.

W pierwszych chwilach zdawało się, że bogaty pan, pamiętny na to piękne zdanie Trembeckiego:

„Ktokolwiek czuć jest zdolnym porządne kochanie, albo już jest cnotliwym, albo się nim stanie.“

które nie raz, z zapałem tak dobrze deklamował, myślał ukochaną sierotę zaprowadzić do stopni ołtarza, ale wpływ i rady baronowej zachwiały w nim to uczucie postanowienie.

Z początku odrzucał je z oburzeniem, podtrzymywany uczuciem pierwszej prawdziwej miłości; następnie się zaczął wahać i wtedy poszedł za radami swej krewniaczki.

Baronowa z Jadwigą wyjechały do Warszawy — i tu w parę dni odbył się obrzęd ślubny hrabiego z tą sierotą, o wieczornej porze, w pokojowej kapliczce. Nie wiedziała, że odegrano z nią nikczemną

komedję, którą baronowa ułożyła, a hrabia Adam dał się do niej wciągnąć. Nie żaden kapłan położył ich ślubem dozgonnym, ale jakiś nikczemnik, dobrze zapłacony, który swoją rolę starannie odegrał.

Jadwiga ze swą opiekunką w kilka dni opuściła stolicę i osiadła w Borowie; hrabia Adam w Jazdowie kończył budowę swego pałacu. Przypadkiem poznał się z pułkownikiem Dąbrową — i zaproszony, wkrótce odwiedził Jabłonkę. Zaledwie wszedł do salonu, gdy ujrzał witające go matkę i córkę. Na widok uroczo pięknej panny Klary, zmieształ się niewymownie i ledwie słowa powitania zdołał wybąkać. Niemógł oczu od niej oderwać, a im więcej się wpatrywał, znajdował coraz nowe powaby, które się zlewały w jedną kształtną całość, prawdziwie estetyczną.

Wyniosłego wzrostu, smukła, miała nóżki drobne i ręce dziecięce ślicznie urzeźbione. Rysy twarzy regularne, z którychby malarz włoski mógł brać wzory do obrazu *Madonny*. Lica odznaczały się białością alabastrową, na których wybijał żywy rumieniec, oczy czarne jaśniały ogniem życia młodoci, a bujny włos kruczy zdobił jej czoło wyniosłe; brwi jak skrzydła jaskółcze, dodawały więcej czarującego wdzięku jej spojrzeniom.

Hrabia, który we Włoszech napatrywał się arcydziełom malarstwa i klasycznym wzorom żywym, w duchu odrazu przyznał, że piękniejszej dziewczyny nie widział. Wyszedłszy do ogrodu, siadł na ławce i zaczął dumać. Przed oczyma jego duszy stała Jadwiga wątłej i drobnej postaci, z całym wdziękiem i urokiem niewieści: ale coraz więcej traciła, w porównaniu z majestatycznej piękności Klarą.

Chociaż ukształcenie Jadwigi nie było poślednie, a pod wpływem uczucia miłości rozwijało się inteligentnie, stanowisko jej sieroce, stawiało zapórę, którą za nieprzełamaną zaczął uważać teraz.

Zachwycony i rozmarzony odjechał do Jazdowa, i powziął postanowienie starania się o rękę pułkownikówny.

Jakimi łzami, jaką rozpaczą oplącała zawód i zdradę biedna sierota — Bóg wie tylko jeden. Całą pociechą był syn jej, żywy obraz ojca. Przez pięć lat walczyła ze zgrzyotą trawiącą życie; teraz na łożu śmiertelnym dogorywała. Tu miała ujrzeć po raz pierwszy i ostatni małżonkę hrabiego Adama. Kiedy Chromiński doniósł baronowej o przybyciu hrabiny, zbłądła i pomieszana wybiegła na powitanie do ganku.

— Pani hrabina przebaczy, mówiła z niskim ukłonem, żem się niespodziewała jej przybycia.

— Prowadź mnie pani do chorej — odrzekła Klara, przerywając jej słowa z pewną dumą; czas szybko ucieka, i ja długo bawić nie mogę. Proszę przygotować ją do moich odwiedzin.

— Już jest tam pan Paweł, pani hrabina pozwoli, że będę jej przewodniczką; przeszły przez dużą sien, roztwarza baronowa boczne drzwi i wskazała drugi pokój, gdzie chora spoczywała; sama z głębokim ukłonem, cofnęła się zaraz.

Klara zatrzymała się chwilę; serce jej biło gwałtownie. Przez przymknięte drzwi nieco, ujrzała, sama niewidziana, na łożu spoczywającą Jadwigę; przy niej klęczał Chromiński, ścisnął i tulił do piersi siedmioletnie pacholę urodne, a całował marmurowej białości rękę umierającej.

— O! moja droga dziecino! — mówił słodkim, rzeźwym i rozławnym głosem do niej, otwórz, gołąbko, oczęta i spojrzuj na mnie. To ja, twój niezmienny przyjaciel, przywiozłem ci matkę i opiekunkę dla twojej sierotki!

Na te słowa tak wzruszające, Klara w głos zakłaskała, i oparła się o drzwi sypialni; chora roztworzyła powieki, uśmiech anielski okraszył blade jej usta, gdy ujrzała klęczącego Chromińskiego i usłyszała jego słowa, a na echo łkania, zwróciła spojrzenie i ujrzała postać nieznaną.

— Kto to Pawle? — zapytała z cicha.

— To pani hrabina — odrzekł.

Wtedy jakby siłą nadziemską wzmocniona, uniosła się na łożu, a wyciągając do niej wychudłe ręce drobne, zawołała silniejszym głosem:

— Bądź pozdrowiony aniele pociechy, ty dla mego Stefana, będziesz Bożą opieką i matką! — wszak prawda?

Klara na te słowa podniosła głowę, a widząc wy-



ciągnięte dłonie nieszczęśliwej, rzuciła się w jej objęcia i zawołała:

— Tak! moja droga! będę mu matką, niezawodną twą ufności, ale ty żyj dla mnie, dla dzieciny swojej.

— Daremnie—szepiała Jadwiga—siły mnie opuszczają, życie ulata, czuję śmierć, jak lodową rękę przykładającą mi do skroni. Pamiętaj! coś umierającej matce przyrzekła!

Klara ostrożnie złożyła jej głowę na poduszkę, chwilę jeszcze oddychała i z uśmiechem radości zamknęła oczy.

Pan Paweł, który jej dłonie trzymał i całował, nagle z płaczem przemówił.

— Już skończyła! Patrz pani, jej rączka jak kamień zimny! Śpij, mój aniele, snem wiecznym!

Powstawszy z ziemi, wpatrywał się długo w jej martwe oblicze.

— Patrz pani! — mówił — jaki spokój na jej pięknej twarzy; jak uroczo ta kształtna główka wygląda, na tle pięknych jak len warkoczy. O! nie wezmiesz ich do grobu z sobą, utnę je na pamiątkę dla twego syna i dla mnie biedaka.

Chłopczyzna milcząc patrzył na matkę swoją, a potem zwracając rozumne spojrzenie do zapłakanego Chromińskiego:

— Panie Pawle — zapytał — czy mama tak długo spać będzie?

Hrabini porwała go w swoje objęcia.

— Chodź, mój kochany Stefanku, zawołała drżącym głosem, nie przeszkadzajmy mamie, niech śpi spokojnie!

I uniosła go na rękę z sypialni umarłej.

Nie przyjąwszy zaprosin baronowej na obiad, z pośpiechem opuściła Borowo uwożąc sierotkę, a spiesząc do Jabłonki, gdzie w noc późną przybyła. Chromiński został na miejscu dla sprawienia pogrzebu.

Nie zastała ojca, wyjechał bowiem na *kompromis* obywatelski i aż za tydzień wracał. Rada temu była wielce, bo mogła naradzić się z matką, która ją z okrzykiem radości przyjęła i uściślała serdecznie. Do północy przesiedziały z sobą; Klara, małe swoje z dziecinnych lat kazała przynieść łóżeczko, które tu troskliwie przechowywano i uspiła w nim Stefanka, stawiając je przy sobie. Rano, pułkownikowa zawiodła córkę do jej ogródka, opowiedziała burzę, która go zniszczyła, a zarazem troskliwość ojca, z jakim wysileniem pracował, ażeby ten zakątek przywrócić do dawnego stanu, spodziewając się jej przybycia. Ze łzami w oczach słuchała tego zwierzenia.

— O moja złota matczko! — zawołała z płaczem całując jej ręce — samam sobie winna. Otumaniał mnie swoim zapałem, przepychem, bogactwem! Byłam jak pod urokiem, zdawało mi się, że znajdę lepszą przyszłość niż z biednym Tadeuszem; ojciec pragnął tak gorąco tego związku, widział w nim moje i swoje szczęście. I Bóg za tę ślepotę zesłał karę. O! niezapomnę nigdy twoich słów moja matczko, gdyś mi mówiła: „namyśl się dobrze! i wierzaj, że lepsza dola w chudobie jak wśród złota niedola.“ Teraz dopiero po sześciu latach, czuję całą ich wartość, chociaż zapóźno! Przykuta do człowieka, którego nie mogłam pokochać, a którym teraz pogardzam, muszę wlec te ciężkie kajdany, Bóg wie jak długo! Ale na szczęście Opatrzność dała mi nową pociechę. Oto istota, której matce przyrzekłam opiekę. Dzięki Bogu i za to!

— Ale jakże tę sierotkę wprowadzisz pod dach pałacowy? — zapytała matka.

— Poczekamy na pana Pawła. Tymczasem wyszłam list do Jazdowa, że dłużej tu zabawię muszę.

Na trzeci dzień z Borowa przybył Chromiński oczekiwany z utęsknieniem przez matkę i córkę, które zwierzyły mu powód swej troski.

— Podług mego zdania — odrzekł — nie ma innej rady, tylko wszystko szczerze opowiedzieć pułkownikowi. To człowiek z sercem i z głową — skończy dobrze to, cośmy tylko rozpoczęli.

Kiedy sierotka pod okiem pułkownikowej bawił się zabawkami które mu zastawiono, Klara siedziała wprost swego ogródka pod rozłożystą lipą na kształtnej laweczce z brzeziny. Przed nią stał smutny Chromiński.

— Panie Pawle! miałeś mi mówić o swoich dawnych wspomnieniach, które cię wiążą z nami. Siadaj i opowiadaj, radam je posłuchać, bo patrz, spo-

glądam na mój paniński ogródek, kiedy byłam prawdziwie szczęśliwą! A to także należy do dalekich wspomnień!

(Dalszy ciąg nastąpi).

## HISTORIA O JANASZU KORCZAKU I O PIĘKNEJ MIECZNIKÓWNI

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg)

— My ich i tak odzyskamy — mruknął, a tego wykupić musicie!

Janasz nie rozumiejąc jak sprawa stała, mięsząc się nie mógł — uprosił wszakże Węgry, aby mu widzenie się z Miecznikiem wyrobił. Niecierpliwie czekał Korczak, jaki skutek weźmie umowa i owo bełkotanie Turka z Węgrem, o którym tyle tylko wiedział, iż się mocno sprzeczało. Naostatek Węgier mu opowiedział, iż jeśli chce, nazajutrz z Miecznikiem dzień spędzić może, gdyż teraz noc już była i jeńcy w lochu zamknięci.

Turcy przybyli z nimi znać musieli opowiedzieć Paszy, że królowi wielce chodziło o uwolnienie sługi swojego, gdyż się zaciął i zarzekał, że go inaczej nie da jak za dziesięć tysięcy sztuk złota.

Na tem tego wieczora stanęło.

Pasza nieco ostygł i odprawił ich na nocleg w zamku pod strażą. Dano im izbę osobną, zimną, w której rogoży i wołoków tyle było, żeby się na nich przespać można. Położyli się więc jak stali, a sen ich niebardzo brał, bo długo słyszeli opowiadania Turków, co z nimi przybyli i wykrzyki gniwne, które im towarzyszyły.

Skoro świt budzić się w zamku i ruszać zaczęło, a Janaszowi już pilno było iść szukać i widzieć Miecznika, domagał się więc przewodnika co rychlej i nakoniec doprosił, iż go Czauz z zamku na owe pogórzelska do widnego zdala domu mурowanego poprowadził.

Tam już od wczoraj wiedziano pewnie o posłach, gdyż izbę więźniów Janaszowi pokazano. Niektórzy z nich w nędznej odzieży zamiatali właśnie przed stajnią, w dziedzińcach i u wrót, ale Miecznika między nimi nie było.

Zobaczywszy Janasza kilku towarzyszy, a sądząc że jeniec nowy przybywa, zbiegło się doń ciekawie. Już z ich twarzy i postawy mógł się domyśleć jak p. Miecznika znajdzie. Począł o niego pytać. Wskazano mu izbę na górze, a Kurczaba, szlachcic, który na nogach miał łańcuszki a w rękach miotłę, rzekł:

— E! Miecznikowi się jeszcze jako tako dzieje, bo się za niego dużo złota spodziewają. Choć się krył z sobą, przeważali że to nie taka jak my goliżna. Ale go za to nie łatwo puszcza, gdy nas daliby pewnie dwu za jednego konia dobrego, gdyby im go kto przyprowadził.

Rozmowy dłuższej nie chcąc zawiązywać, Janasz pośpieszył na górę.

Z bijącym sercem drzwi otworzył.

W kubraku nędznym, podpasany krajką, w lada-jakich chodakach, tyłem do drzwi siedział na posłaniu z wołoków Miecznik i w okno patrzył smutnie. Chociaż tak okrutnie tą nędzą zmienionego, poznał go zaraz Janasz.

Nie rychło zamysłony jeniec głowę odwrócił, lecz spostrzegłszy we drzwiach twarz, której sobie wytlumaczyć niemógł, a do tego wychudzoną i zmienioną — przestraszony przeżegnał się.

Jak w tęczę patrzył milczący na Korczaka, gdy ten mu się płacząc do nóg rzucił. Dopiero ręce podniósłszy do góry, zawołał:

— Janasz! ty! zkadżeś się wziął?

— Umyślnie przybył, panie, po was, dla uwolnienia waszego.

— Z domu? wprost?

— Tak jest.

— Jejmość! Jadzia! mów.

— Wszyscy zdrowi.

— Bogu chwała? — odetchnął Miecznik.

— Ale ty jak z krzyża zdjęty.

— Chorowałem.

Zamilkli.

— Podróż jak poszła?

— Dobrze — dobrze — zawołał Janasz; niechcąc opowiadaniem na razie go zatrząwać. Natychmiast po powrocie wysłała mnie pani do obozu, a król jegośność pozwolił tu dojechać. Agę i jego syna i trzydziestu ich przedniejszych zatrzymał dla was, aby wymienić.

— Dobry król.

— Jam przywiózł pięć tysięcy dukatów.

— Ha? zkad?

— W Gródkuśmy skrzynię znaleźli.

Miecznik się poruszył.

— Ani grosza tym zbożom nie dam. Milcz — i z tem mi się nie odzywaj. Dosyć mnie namęczyli — ale ja tak i twardszy od nich. Otóż, jak widzisz, nie mi, do ich chleba nawykłem. Apetyt mam jakiego nigdy nie było.... drwię z nich.

Janasz go pocałował po rękach całować.

— Puścić mnie muszą, a pieniądze nie będą widzieli!

Nagle z zamyślenia jakby wychodząc, wtrącił Miecznik.

— Kobyła bułana ożrebiła się?

Janasz osłupiał.

— Tak jest — bąknął.

— Mówiłem, że zrebak będzie — nieprawdaż?

Naprawdę Korczak o niczem nie wiedział, ale potwierdził.

Uściskał go za głowę stary.

— Ty myślisz — odezwał się — że ja na twoje przyjęcie taki dobry humor dobyteł z zapasu? Jako żywo! ciągle go mam i z Turków drwię. Wściekają się, a ja się śmieję. Skorzystałem z niewoli tyle, że mi się cale nieźle tego ich psiego języka poduczyl i mógłbym z biedy drogiem być.

Janaszowi się na łzy zbierało, a stary śmiał się. Wprawdzie na twarzy niewola się mocno wypiętnowała, lecz oczy śmiały się jak zawsze. Począł rozpytywać o wszystko.

Tręci nie brakło do opowiadania, ale Korczak to tylko mógł mu donieść coby próżnej z sobą nie przyniosło troski, bałamucił więc i wywijał się różnie, szczególnie o całej podróży na Podole i przygodach doznanych zamilczawszy.

Godziny płynęły niepostrzeżone.

— Panie — odezwał się Janasz — Węgier tam układa się o uwolnienie nasze, ale Turcy się upierają.

Ja myśl mam inną. Jeśli przyjmie Pasza, zostanie za was zakładnikiem, chodzi o to, aby mnie tylko przyjęto.

Miecznik się rozśmiał.

— Nie wezmą cię, chudy jesteś — rzekł — a u nich chudy, mężczyzna czy kobieta, nie nie warta. Za młody jesteś, aby cię za mnie pomieniali.

— Toż jeśli o niewolnika do pracy idzie, młodszy lepszy.

— Im nie o pracę chodzi, ale o pieniądze, nie! nie! rzekł Miecznik. My tu może, jeśli Węgier nie nie poradzi, co innego poczniemy. Masz pieniądze?

— Sumę całą w królewskich zostawiłem rękach, bo niebezpiecznie było ją brać z sobą — a w kieszeni około stu czerwonych złotych się znajdzie.

To mówiąc sakiewkę dobył Janasz i położył ją na stole.

Miecznik popatrzył na nią i schował.

— Chodźmy na podwórze, bo ja się tu mówić lekcam — szepnął.

Zeszli tedy po wschodach i na brukowany dziedziniec, po którym sami się przechadzać zaczęli.

Miecznik pokazał drzwi do loszku.

— Zajrzyjno, z pozwoleniem, nierogaczny bym w nim nie zamknął, a oni nas tam na noc i to jeszcze okutych lub w dybach zapierają. A wiesz? czasem się tak śpi, że nie można lepiej. Człowiek do wszystkiego przywyknąć może. Kazali mi z początku konie czyścić, ale zaraz się spostrzegli, że to nie moja rzecz i dali pokój. Z miotłą jeszcze jako tako.

— Mamy tu — szepnął wreszcie — wcale nie złego człowieka dozorcę — słowak jest zburmaniony i ku



pić go można a drapnąć. Bardzo mi się chce im tego figla zrobić.

— Ale kiedy i tak wolnym być można? po cóż się podawać w niebezpieczeństwo?—rzekł Janasz. Węgier się uklada—a dwóch Agów....

Miecznik głową potrząsnął.

— Zobaczemy — zakończył. Już mi wreszcie ta niewola dojadła — stęskniłem się za domem: dosyć tego!

Około południa nadszedł, Węgier ale z twarzą posępną.

— A co?—zapytał Miecznik.

— Chcą okupu nie zamiany—odezwał się poseł.

— Diabła zjedzą! grosza nie dam!—zawołał Miecznik.

— Pani Miecznikowa mi kazała powiedzieć, wtrącił Janasz, że pieniądze są i gotowa zebrać nie dzie sięć ale dwadzieścia tysięcy byleś pan był co rychlej wolny.

— Albo mi to tu tak źle? Żaden doktor takby mnie z otyłości nie wyleczył, jak te bisurmany. Czysty zysk! brzucham się pozbył. A no, za kurację im płacić nie myślę. Wracajcie do króla i powiedzcie, że ja tu sobie posiedzę.

Spojrzał z ukosa na Janasza.

— Jeżeli p. Miecznika nie uwolnią—począł Korczak—ja z nim zostanę.

— Po co? żebyś mnie odjadł? oni cię darmo karmić nie będą.

— Jadło ja znajduję, a posłużę przynajmniej.

— Kiedy mnie teraz bez służki tak dobrze, jakbym go nigdy nie miał. Pieścić się nie myślę. Ty mi nad uszami skwierczyć będziesz. Jedź do Mierzejewic, kłaniaj się im wszystkim i powiedz, że ja, za łaską Bożą, sam też się wkrótce tam wrócić spodziewam. Niechaj Wojda pszenicę młóci.

— Ja bez pana Miecznika nie pojedę—stanowczo rzekł Janasz.

Zboiński mu w oczy spojrzał.

— Jak mi Bóg miły—bij mnie pan czy ubij—nie ruszę się ztąd.

— To oni cię wypędzą, a nie to w niewolę zapiszą, rozśmiał się Miecznik. Tym bowiem heroizmem kłopotu mi tylko przysporzysz.

Zmilkł Janasz.

— Cóż będzie?—zapytał Węgier.

— Powiedz Paszy, że ja jestem goły, pieniądze nie mam, a król takich sług jak ja na seciny liczy, gdyby ich miał tysiącami opłacać, nie stałoby mu na koszulę. Jak sobie chce. Turcy pójdą w Zółkwi wały sypać, a ja będę tu podwórze zamiatał.

Całe poobiedzie upłynęło na układach, Węgier poszedł do Paszy, który się zaciął i żądał sumy coraz większej.— Miecznik chciał, aby Janasz wracał; ten stał przy swoim. Odłożono resztę sprawy do jutra, gdy wieczór nadszedł i Janaszowi kazawszy zostać na boku, Miecznik poszedł się o coś z nadzorcą układać. Szepłali długo. Korczak miał czas się przypatrzeć człowiekowi, a ów zbisurmaniony Słowak przykre i wstrętliwe na nim uczynił wrażenie. Był to mężczyzna ogromnego wrzostu, żółty, twarzą pociągłej, nosa wielkiego, małych oczów czarnych a bystrych, ruchów niespokojnych. Fałsz mu patrzył z twarzy całej.

— Wyrobiłem u dozorczy—odezwał Miecznik, że nam obu na dzisiejszą noc da izbę osobną i od łańcuszków na rękach mnie uwolni. Przegadamy z sobą te godziny, bo jest jeszcze i o co pytać i co opowiadać.

Spojrzał z ukosa na Janasza—jakoś znacząco.

Z oczów mógł się domyśleć, że na wszystko się ważyć będzie.

— Co u licha—szepnął—żeby też Pacuk miał być rozumniejszy i szczęśliwszy nademnie? a toczy już wstydy się trzeba!

Weszli razem do izby.

— Słuchaj Janasz, to bydlę śpi jak zabite, koło domu zewnątrz żadnej straży nie ma, żebyśmy też uciekli?

To dopiero im psikusa wyprawimy, Ani Agi ani pieniędzy....

— Na miłość Bożą!—zawołał Janasz, panie mój! Niebezpieczeństwo! mogą nas schwytać, mogą....

— Wszystko mogą, strzelić i zabić—odparł Miecznik—ale dlatego ważyć się trzeba i szczęścia spróbować. Mogłem od lada kiepskiej kuli zginąć na wojnie.

Gdzie zaś, umknijmy! zobaczysz. Przecież ty nie stchórzysz?

— Ale ja o siebie najmniejszej nie mam obawy!—rzekł Janasz.

— A ja o siebie — dodał Miecznik, do Matki Boskiej Częstochowskiej się modliłem, na tę intencją...

Sam, albo i z Pacukiem nie ważyłbym się, z tobą—śmiało!

Próżne były prośby Janasza i uwagi; Miecznik stał przy swoim.

Węgrowi dano znać z wieczora, aby sobie, jeśli chce powracał, choćby natychmiast. Zresztą, przynależny, iż o niego wcale się Miecznik nie troszczył.

— Gdyby *Basam teremtete* posiedział tu na mojem miejscu jaki ruski miesiąc — toć go lichu nie weźmie. Łatwiej go uwolnią niżeli mnie.

Zamknęli się na noc w izbie im przeznaczonej. Słowak przyniósł lampkę, gotowanego mięsa trochę, suchego chleba i wody. Miecznik się wesoło wziął do tej wieczerzy.

— W Mierzejewicach — odezwał się, bywały lepsze wieczerze, krupniczek z półgęską, palce obliżywać! kasza ze słoninką! zrazy! Tu jakieś ochłapy dają, Bóg raczy wiedzieć z czego i z kogo, zamiast węgryzna wodę, chleb spleśniały, a smakuje to jak specyały. Co to za mistrze, nędza i głód! Ha! ha!

Janasz niespokojny nie jadł nie i milczał.

Miecznik palcami sobie do tej wieczerzy posłużywszy, obmył ręce i zaczął myśleć o ubiorze i o ucieczce. Korczak przekonał się dopiero, iż była postanowioną niezmiennie, i że Miecznika nie już odwieść od tej myśli nie mogło. Czekał tylko godziny właściwej.

— To źle że na nas dwu jedna szabla—rzekł stary—ale na to rady niema.

Janasz nie spieszył z oddaniem swojej, bo jeszcze choć słabą miał nadzieję, że Miecznika powstrzyma. Noc ciemna była bardzo i dosyć wietrzna. Wydawało się to przyjaznem dla ucieczki. Wicher stukał w okna i okiennice, że mało co oprócz tego świstu i szumu słyszeć było można. Z północy Miecznik jakie tylko miał odzienie, włożył na siebie; Janasz mu płaszcz na ramiona swój rzucił, ale tego nie przyjął, pod pozorem, żeby mu zawadzał. Z pokrajanego w pasy kobierca skrecono sznur, którego nie wiele było potrzeba, ażeby ziemi dosięgnąć.

— Dobyć się ztąd—rzekł Miecznik—nie jest żadną sztuką, to dopiero mniejsza połowa roboty, ale koni dostać i uciec, w tem gra!

Janasz mu się raz jeszcze do nóg rzucił błagając, aby myśl tę odepchnął; uściśkał go, zmilczał, ale swoje dalej robił.

— Na przód się nie wyrwyj—idź zamną i bądź posłusznym, nie wymagam więcej. Głowy nie trać. Milczec.

To mówiąc przezeńgnął się stary, okno otworzył, sznur powoli dla próby spuścił, ręce poobwijał i nim Janasz ostatnim wysiłkiem powstrzymał go jeszcze chcąc, potrafił pochwycić, był już na oknie i na sznurze.

Pozostawało jedno tylko Korczakowi iść za nim. Niemał czasu rąk obwarować, zsunął się więc odarłszy je ze skóry, czego na razie nie poczuł.

Miecznik stał już na dole na gruzowisku w ciemnościach i prowadził. Przy domu była sklecona na prędce szopa, w której stały konie Agi. Do tej dostać się z zewnątrz nie można było inaczej jak wyrwywając deski, które ścianę stanowiły. Wziął się do tego Miecznik dzielnie, a Janasz jał mu pomagać szybko, bo już ważyć się raz, trzeba było doprowadzić zamiar do skutku.

Licha budowa nie wielki stawiała opór. Miecznik dostał się do stajni bez wielkiej trudności i pochwycił jednego z koni, którego podał Janaszowi, na drugiego sam skoczył w szopie i wyjechał z niej prędzej niż spodziewać się było można.

Dotąd szło wszystko tak szczęśliwie, iż w Janasza duch wstąpił. Oba siedzieli oklep na koniach dobrych, a wiedział już z doświadczenia Pacuka, iż ucieczka była możebną, bo odległość od obozu polskiego nie była zbyt wielką. Ruszali z miejsca już, gdy po zanimi w podwórzu, słyszeć się dało wołanie, krzyk i wrzask, który się rozległ natychmiast po całym budynku. Miecznik konia ścisnął, Janasz postanowiwszy jechać za nim, dobył szablę, którą

miał u pasa, konia płazem ściągnął — zaczęli uciekać szybko.

Noc była przerażająco czarna, ale Zboiński przez czas pobytu swojego miał zręczność dobrze się w okolicy rozpatrzeć, pokierował więc konia w stronę, gdzie droga była najgładszą i najprościej wiodła do celu. Janasz tuż jechał za nim. Z tyłu dochodziły ich krzyki i hasła. Oczywiście było, że Turcy ucieczkę postrzegli i że pogoń puścić się miała za niemi. Lecz mogła obrać inną drogę i nie doścignąć ich, gdyż mieli czas się oddalić. Konie jednak bić było potrzeba, bo od stajni nie bardzo im się iść chciało, czuły jakby nieprzyjaciela na sobie, zrywały się i opierały nieposłuszne.

Biegli tak wśród ciemności, oddalając się coraz dalej od zameczku, gdy Janasz tentent posłyszał za sobą. Zbliżał się widocznie.

— Panie—zawołał—gonią nas... uchodź, ja ich zatrzymam, jeśli dognają.

Nieposłuszał już odpowiedzi Miecznika, i koń jego poparł żywiej naprzód. W tem pogoń słyszeć się dała tak blisko, iż ujść od niej było już niepodobniństwem. Sapanie koni czuło pozasobą i przekleństwa ścigających Turków. Koń Janasza zaczął zwalniać biegu, Miecznika widać nie było. Wziął się więc do szabli Korczak. Turek siedział mu już na karku, kilka razy świsnęła szabla w ciemnościach napróżno, raz ścięły się z sobą żelazca.

Janasz uczuł w ramieniu ból, z dwóch stron oskakiwali go Turcy; koń padł i on z nim na ziemię. Nie myślał wcale o sobie—patrzył co się mogło stać z Miecznikiem, ale wśród zamieszania jakie powstało między pogoń, która go chwyciła, zdało się, że miał czas ujść niepostrzeżony.

Pochwyciwszy go więc Turcy i natychmiast ręce związawszy, nie zważając na ranę, okładając razami zaciągnęli napowrót do domu Agi. Tu wszystko było na nogach, gotowe na przyjęcie nieszczęśliwego. Miecznik tak długo siedział w niewoli spokojny, iż Janaszowi przypisywano zachęcenie do ucieczki i jej ułatwienie. Znęcano się więc nad nim jako nad winowajcą.

Chciano go zrazu ściąć bez dalszego rozpatrywania sprawy, przyszła potem rozważa i okutego w kajdany zamknięto do osobnego, wilgotnego lochu, do którego woda ściekała, i w którym kamienia nawet nie było, aby na nim usiąść sucho.

Janasz nie rozumiał języka; na wszystkie krzyki i łajania, nie odpowiadał nie, stał cierpliwie znosząc razy i wrzaski. Dano zaraz znać do zamku, gdzie Węgier nocował, ażeby i tego jako współwinowajcę uwięzić.

Z tym jednak nie poszło łatwo, gdyż zemstę im przypomniał, jaką król zapowiedział, jeśliby któremu z nich włos spadł z głowy.

— Kilka dni się zwleczę—rzekł—a jak niepowrócą, głowy tureckie spadną.

Postawiono więc straż przy nim na noc i tak się przewlokło do rana. Do dnia przyprowadzono go przed Paszę, który już o przygodzie nowej był uwiadomiony i Janasza też w kajdanach przywieść kazał. Turcy już naprzed pochwyciwszy go odarli do koszuli, zabrali suknie, pieniądze, szablę i stary dali przyodziewek tylko. Z lochu do zamku, był kawał drogi po błocie, który Janasz przebył płacząc się w łańcuchach na bosych nogach, ale bez oznaki najmniejszego strachu i bólu. Postawa jego i to milczenie zrobiły nawet na Turkach wrażenie.

Pasza, gdy ich wprowadzono, rzucał się jak wściekły na swoich poduszki i znowu śmiercią groził. Rozkazał Węgrowi pytać jeńca o ucieczkę, ale Janasz od razu odparł tylko, że niema nic do powiedzenia, a robić z nim mogą co chcą, bo jest w ich mocy.

Węgier więc za siebie i za niego tłumaczył się musiał.

Stało na tem, że Korczaka Pasza zatrzymać postanowił i za nic go wydać nie chciał, a Węgra rad nie rad puścił, domagając się przez niego wydania uwięzionych w Zeczynie, za których Janasz miał gardłem odpowiadać. Gdy ich potem obu razem wprowadzono, zbliżył się do Węgra Korczak i prosił go tylko, aby królowi o losie jego oznajmił. Zdało się, że Miecznik nocą uchodząc, przedrzeć się musiał do obozu niemieckiego lub polskiego, gdyż o pochwyceniu go wiadomości żadnej nie było. To pocieszało Janasza, który już wcale ani rany, ani ciężkiej niewoli nie żałował.



W istocie była ona nad wyraz wszelki ciężką i bezlitością. Słowak renegat, wszyscy słudzy i młody Aga mścił się na nim za stratę koni, bo drugi padł od rany zadanej mu pałaszem w głowę, a obchodzili się jak ze skazanym na śmierć. Jedzenie rzucano mu jak psu i to takie, które zaledwie na utrzymanie życia starczyć mogło, na noc zamykano w tym samym lochu—i kajdany zdejmowano tylko wtenczas, gdy pod dozorem pracować musiał czyścąc stajnię i podwórze. Nieumiejętność języka oszczędzała mu przykrości jakiejby doznał słysząc nieustanne łajanie i szyderstwa.

W takim położeniu jedynym ratunkiem jest cierpliwość niema, spokojna, kamienna. Gniew cięższy oprawców i nasycza, żelazna obojętność pozbawia ich przyjemności i owocu znęcania się. Nużą się w końcu widząc, że nie zmogą. Janasz miał tyle siły, że się na nic nie skarżył, o nic nie prosił i oczów nawet nie podniósł ku katom. Nie miał czem rany zawiązać, zaschła na zimnem powietrzu i goiła się sama. Cierpiał głód, pragnienie, pracę, barłóg mokry nocą, a gdy Słowak się zeń naśmiewał, spuszczał głowę i zdawało się że go nie słucha i nie słyszy. Zdumiewało to Turków.

Wszystkie niewygody, które powinny były przy ostrym powietrzu dobić chorego, dziwnym sposobem hartowały go tylko. Widząc go pracującego w kajdanach na podwórze, Turcy przychodzący do Agi, rzucali mu jałmużnę. Zrazu nie brał jej Janasz, w końcu ta litość dzikich zdała mu się uczuciem ludzkim, którem gardzić nie widział potrzeby. Te groszaki dozwalały mu kupić trochę lepsze jądło i opatrzyć się w szmaty na obwiązanie rany.

Był pewnym, że Miecznik i król uczynią o niego staranie—ale co się ze starym stało? dowiedzieć się nie było podobna, z obozu żadna też wieść nie przychodziła.

Turcy zdawali się obojętnie dla niego, Słowak tylko mu zapowiadał, że zgnie w więzieniu, lub pójdzie przykuty robić wiosłem na galerach. Widząc go tak wytrwałym, ceniono go jako niewolnika i bydlę do pracy.

Upłynęło dni kilka, tydzień i drugi: nie zjawiał się nikt. Jednego dnia tylko Słowak wypędzając go na robotę, powiedział że Agę i zabranych za Miecznika ludzi w Zeczynie wydano, ale Pasza jego uwolnić nie myśli bez osobnego okupu, takiego, jakiby za Miecznika był mógł otrzymać.

Zima nadechodząca, przerwała wojnę nieco, ale niewolę uczyniła nieznośniejszą jeszcze. Noce szczególnie, bez odzieży w zimnym lochu na ziemi wilgotnej, straszne były. Trochę wyżebranej słomy służyło za pościel i okrycie.

Turcy w końcu, gdy mrozy się powiększały, pożalowali marnującego się człowieka—i na nocleg zapędzali go do izby na dole, gdzie chłód mniej był dojmującym. Kajdany, które się zrazu wjadły w ręce i nogi, namulały skórę i wyrobiły sobie łożysko zdrętwiałe, w którym już ból był mniej dojmujący.

Polskich jeńców, po największej części rannych, poddostatkiem było na zamku, ale z temi żadnego nie mógł mieć Janasz stosunku—nie posyłało go tam nigdy.

We trzy tygodnie dopiero po ucieczce Miecznika, ojciec Agi darował mu znowu jeńca Polaka, którego dla pomocy w robocie około domu, przyprowadzono. Był to ciężko ranny szlachcic, towarzysz pancernego znaku, niejaki Zbylutowski, Krakowianin, chłop ogromny, ale nędzą i niewczasem a niewolą wychudzony i przywiedziony do ostatka. Gdy się po raz pierwszy ukazał w podwórzu i spojrzeli sobie w oczy, poznali, że byli jednego rodu i narodu. Zbylutowski spytał go—z kąd?

Z lubelskiego.

— Ja z pod Krakowa.

— Gdzie cię wzięto?

— Samem im w ręce wpadł—rzekł Janasz, alem pana mojego a dobrodzieja miał szczęście uwolnić.

— Słyszałem o tem — odezwał się Zbylutowski. Oba pono zamrzemy tu u nich. Mnie wykupić niema komu, wymienić prędzej zapomną niż będą pamiętać—a no, wola Boża. Waści się też coś liberować nie spieszą.

Była to pociecha mieć choć pomówić z kim i wspólnie się ratować. Zbylutowski znosił niewolę też z cierpliwością wielką, chociaż zostawił pozasobą żonę, od roku dopiero poślubioną i dziecię.

Gdy o nich wspominał, łza mu sama ciekła z oczu, niepostrzeżona; ocierał ją i miledzał.

— Żołnierzowi żenić się i szczęścia pytać, nic potem, szeptał—człowiek od tego mięknie, a nam hartu trzeba stalowego.

Zrana musieli konie czyścić, wody przynieść, jeźmień siać, stajnię zamiatać, podwórze też i sienie. Wszystkie posługi domowe, nawet noszenie drzewa na barkach, na nich Turcy zdawali. Słowak, gdy mu fantazyja przyszła, smagał bez przyczyny plecią, aż krwi dobył i śmiał się.

Wieczorem zamykano ich do izby na dole, w której wcale nie palono; nakładano dyby i łańcuszki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## KOESPONDENCYA Z ZAGRANICY.

Dr Zyblikiewicz i różne jego projekta.—Zbiory ks. Władysława Czartoryskiego.—Akademia umiejętności. Zbiór ornitologiczny hr. Kazimierza Wodzickiego.—Szkoła sztuk pięknych.—Wystawa rolniczo-przemysłowa w Krakowie w roku 1875; z tego powodu trochę o wystawach.—„Przegląd krytyczny“ wychodzący pod redakcją profesora historii powszechnej Dra Wincentego Zakrzewskiego.

Kraków, w listopadzie.

Już od trzech miesięcy zostajemy pod rządami nowego burmistrza, a jak dotychczas ku powszechnemu zadowoleniu. Dr Zyblikiewicz okazuje się nie tylko bardzo zdolnym, ale zarazem pilnym, dbałym i pracowitym prezydentem miasta. We wszystkim wgląda osobiście, wszędzie jest obecnym, każdą rzecz stara się zbadać, o grosz publiczny nader troskliwy, cały dzień pracuje i urzędników w karbach porządku trzyma, a przytem sam bierze inicjatywę do wielu pożytecznych spraw. W tak krótkim przeciągu czasu dała się już uczuć jego sprężystość w szybszem i dokładniejszym załatwianiu interesów, w ścisłej kontroli przedsięwzięć. Rynek nasz główny został upiękaszony przez szerokie chodniki asfaltowe, kilka ulic wybrukowano na nowo; a wlokąca się oddawna sprawa uporządkowania Kleparza i przeniesienia targowiska celem rozszerzenia plantacyi poza bramą Floryańską posunęła się o tyle naprzód, że już zapadła uchwała co do kierunku ulic i co do placów mających iść na sprzedaż. Z wiosną zaczną tam już budować się piękne domy i za lat kilka zapewne będzie to jedna z piękniejszych dzielnic miasta.

Kraków mało ma warunków rozwoju starej części swego grodu, ciasno tu bowiem i zwolna jedynie wzrastający dobrobyt pozwoli na upiękaszanie środka miasta. Ale już od pewnego czasu zabudowuje się Piasek, a teraz jest nadzieja wzrostu Kleparza. Dwa inne przedmieścia: Stradom i Kazimierz zamieszkałe przeważnie przez żydów, potrzebowałyby znacznych bardzo nakładów, aby prąd ludności mógł się skierować w tę stronę. Mianowicie Kazimierz jest stkiem nieporządku, który nie zostawia żadnego śladu dawnej piękności tego przedmieścia, a obecność starego koryta Wisły rozlewa w około niezdrowe wyziewy. Uregulowanie starej Wisły ze względów higienicznych jest bardzo pilne, ale kosztowne i podobno trudne do uskutecznienia; a jednak rzecz zarządu miasta jest przedewszystkiem dbałość o stworzenie takich warunków porządku i zdrowia, któreby usunęły przyczyny tamujące wzrost miasta. W mniejszej daleko mierze do podniesienia miasta lub jego dzielnic, przyczyniają się piękne budowle, ile zaprowadzenie bruku, gazu, wodociągów, osuszenie błot, i t. p. Uregulowanie Rudawy, błotnistej i często wzbierającej rzeczki, aczkolwiek niezupełnie może dokładne, zdecydowało o wroście Piasku i teraz stoją tam najpiękniejsze domy i wille, których z roku na rok przybywa kilka i kilkanaście. Wybrukowanie Kleparza zapewni rozwój temu przedmieściu; oczyszczenie Wisły starej i kanalizacya Kazimierza podnieść może południową stronę Krakowa.

Nowy prezydent niedawno przedstawiał projekt

dla miasta całego bardzo korzystny, a mogący wpłynąć ogromnie na wzrost Kazimierza. Oddawna tu bowiem pragną zaprowadzenia stacyi wołowej, tylko nie można znaleźć na ten cel dość obszernego placu. Dr Zyblikiewicz wszedł w układy z sąsiednią gminą Podgórze, która odstępowwała 60 morgów łąki nad Wisłą, tuż obok kolei, zastrzegając sobie prawa do trzeciej części czystych zysków po potrąceniu wszystkich kosztów zarządu i procentu od kapitału, jakiby Kraków włożył na urządzenie stacyi wołowej. Interes był bardzo świetny, miasto bowiem ściągnęłoby w swe mury cały handel wołowy, gdyż wszystkie transporta przez Kraków tu zatrzymywałyby się, tuby przyjeżdżałyby kupcy z Wiednia i z zagranicy; ożywiłby się ruch pieniężny i oprócz czystych zysków dla kasy miejskiej, wszyscy byśmy skorzystali na taniości mięsa i koncentracyi tak wielkiej gałęzi handlu w naszym mieście. Rada miasta odrzuciła ten projekt, wychodząc z ciasnego pojmowania własnego interesu. Nie chciano dzielić zysków z Podgórzem, obawiano się wzrostu odległego przedmieścia na niekorzyść środkowej części miasta. Obecnie więc wypadło znowu szukać innego placu, aczkolwiek tamten był najdogodniejszy, właśnie dla tego, że odległy i położony nad Wisłą poniżej miasta, tuż obok kolei. Znający się na rzeczy bardzo żałują spełnienia powyższych układow, gdyż było już nawet zapewnione dla tego projektu poparcie namiestnictwa, a dziś cała sprawa odroczone może na czas dłuższy.

Natomiast z radością usłyszała rada miejska z ust prezydenta, że z wiosną wznosić się zaczęła budowle na które była zaciągnięta pożyczka, i że będą także odbudowane Sukiennice, chociaż te ostatnie może dopiero pod koniec przyszłego roku zaczęły się restaurować. Nie umiem powiedzieć, czyli ogólną nazwą budowli objął p. Zyblikiewicz, także wodociągi; ale to nie ulega wątpliwości, że jeśli potrwa długo podobnie sprężysta i energiczna działalność, za lat dziesięć Kraków może się zmienić do niepoznania.

W życiu publicznem oprócz zasługi wielką jeszcze rolę gra szczęście, które posłużyło Zyblikiewiczowi w pierwszych miesiącach. Teraz już bowiem jest rzeczą pewną, że miastu naszemu przybędzie nowa, bardzo piękna instytucya. Ks. Czartoryski powziął szlachetną myśl zaofiarowania publiczności bogactw swych zbiorów, dotychczas trzymany w Paryżu i w Sieniawie z małym dla ogółu pożytkiem. Ze zbiorów tych mało dotąd korzystano, a są tam ogromne skarby dla historyków. W zbiorach ks. Czartoryskiego znajdują się podobno i inne niemniej ciekawe rzeczy. Oprócz biblioteki mają one posiadać rzadki komplet okazów przemysłu polskiego od XVI wieku; galerję obrazów i t. p. Ks. Czartoryski wybrał sobie na urządzenie swej fundacyi mur obok bramy Floryańskiej, gdzie dawniej był arsenał. Starożytna ta budowla o dwóch basztach, posiada na górze obszerną salę, z widokiem na plantacye, w której teraz mieści się skład mebli. Baszty stoją pustkami, dół obrócony na składy. Wszystko niezmiernie zrujnowane. Miasto ze względu na cel użycia gmachu odstępuje go ks. Czartoryskiemu bezpłatnie, ale pod warunkiem, że gdyby kiedykolwiek zbiory zostały ztamtąd usunięte, gmachy wracają na własność gminy miasta Krakowa, w takim stanie w jakim się podówczas będą znajdowały. Warunek ten był dość ciężkim dla nabywcy, gdyż musi on ponieść koszta restauracyjne, a zamierza właśnie z wielką wspaniałością urządzić swą bibliotekę i muzeum, których samo sprowadzenie nie mało wydatków za sobą pociągnie. Ks. Czartoryski przystał jednak na ten warunek i w tych dniach zostanie spisana umowa pomiędzy nim a gminą, zabezpieczająca wzajemne prawa.

Akademia umiejętności otrzymała zbiór ornitologiczny od ks. Kazimierza Wodzickiego, obywatela z Podola galicyjskiego, autora wielu artykułów, które chociaż nie były pisane w sposób ściśle naukowy, ale nosiły cechę sumiennego badania ptasięgo rodu. Wodzicki nie lubi suchego wykładu, opisy swe przeplata długimi uwagami stosowanymi do życia społecznego, a nawet do polityki. To nadaje jego opowiadaniom charakterystyczną cechę i czyni je zajmującymi dla profanów. Poglądy tego autora ściśle konserwatywne, nie pojmując on nowych potrzeb, ale natomiast surowy moralista, karci wszelkie wybryki, zwracając się ciągle do



natury i obyczajów skrzydlatego rodu. W taki sposób podał on opis kruka, jaskółki i wielu innych ptaków. Czy specjaliści znaleźli w tych uwagach nowe rzeczy? o tem nie mam własnego zdania, ale słyszałem, że jest to dostrzegacz bystry, sumienny badacz i że zbiór jego ma być bogaty w różnorodne okazy ptactwa krajowego.

Akademia umiejętności posiada już dziś liczne zbiory i zaszła potrzeba rozszerzenia domu, który ma na własność w spuściznie po towarzystwie naukowem, zakupiła też sąsiednią kamienicę. Akademia odbywa rok w rok dwa pełne posiedzenia, na które zjeżdżają się wszyscy jej członkowie. Posiedzenie w maju bywa publiczne, jest to zdanie sprawy przed publicznością z całorocznych trudów. Przeciwnie listopadowe zebranie załatwia na tajnem posiedzeniu bieżące kwestye administracyjne, uchwała budżet na rok następny, wreszcie wybiera nowych swych członków. W tym roku wybór padł na profesora chemii w uniwersytecie lwowskim Radziszewskiego, na Zeissberga profesora uniwersytetu w Wiedniu i wreszcie na hr. Uwarowa, prezesa komisji archeologicznej w Moskwie. Ostatni wybór ponieważ dotyczy osoby nieposiadającej obywatelstwa austriackiego musi uzyskać potwierdzenie cesarza, które udziela się niełatwo, albowiem z poddanych rosyjskich uzyskał je dopiero jeden Spasowicz, a z poddanych pruskich nie zatwierdzony jeszcze jest dotąd wybór Karola Libelta i Maurycego Manna.

Inna instytucja, jeśli nie nowa, to przynajmniej świeżo postawiona w nowych warunkach rozwoju, szkoła sztuk pięknych, liczy obecnie na wszystkich oddziałach 50 uczniów. Składa się zaś szkoła z oddziału rysunkowego, rzeźby i malarstwa, oraz drzeworytnictwa, wraz z rzeźbą na drzewie. Nie wszyscy bowiem uczniowie szkoły sztuk pięknych kształcą się na artystów. Wielu z nich przeciwnie nie sięga myślą poza nauczyciela rysunków, inni szukają przyszłości w pracy pośredniej pomiędzy rzemiosłem i sztuką, a małe grono wybranych sposobi się do zawodu artystycznego. Nie mówiąc o innych rzeczach byłoby bardzo pożądanem, aby ta szkoła usposobiła zdolnych drzeworytników. W Warszawie ich nie brak, a u nas gdzie stosunkowo więcej mamy malarzy i rzeźbiarzy, obecnie nie posiadamy ani jednego drzeworytnika z zawodu. Wychodziło tu we Lwowie pismo z drzeworytami p. t. „Strzechka“, ale ryciny były w niem bardzo nędzne i dla tego głównie upadło, że nie mogło wytrzymać konkurencji z drzeworytami Warszawskimi. Nawet drobne drzeworyty robione dla kalendarzy, do książek specjalnych są zwykle nic nie warte, chyba, że obstalowują je w Warszawie, lub gdzie za granicą.

Snycerstwo na drzewie jest u nas pewnym rodzajem samorodnego przemysłu, mianowicie u górali; przemysł taki nie może dojść do doskonałości. Górale w Tatrach i Karpatach mają zdolność do rzeźbienia, ale ta wrodzona zdolność, jaką posiadają na równi z góralami całego świata dotychczas jest w powiciu; a do jej rozwoju posilkować się musimy nauczycielami przysyłanymi z Wiednia. Byłoby zaś daleko lepiej i korzystniej, gdyby nasza szkoła krakowska wykształciła zdolnych nauczycieli w tym kierunku, w takim razie możnaby rozwinąć w górach przemysł i dać biednej tamtejszej ludności sposób zarobku. Gdzie zaś istnieje wrodzona zdolność, tam nauka rysunku, obok innych praktycznie urządzonych wykładów, może wytwarzać zdolnych rzeźbiarzy na drzewie, a nawet kamieniarzy, fabrykantów mebli, cieśli i t. p. rzemieślników, a tem samem ożywić przemysł i handel podgórskich okolic.

Dobrobyt zaś i nauka wpłynąć mogą na zniknięcie tak nędznych i bez gustu stawianych domków, w jakich jeszcze dotychczas większa część podgórszan, np. tak zwani Spizacy, około Krynicy i Żegiestowa; co znowu ściągając będzie większą liczbę przyjezdnych i zbliży tamte strony do cywilizacji zachodniej, stając się źródłem i podstawą dalszego ekonomicznego rozwoju.

Świetne powodzenie wystawy rolniczej w Warszawie wpłynęło na powzięcie przez towarzystwo rolnicze Krakowskie zamiaru urządzenia u nas wystawy przemysłowo-rolniczej w roku przyszłym. Wystawy takie nie są w Galicyi rzadkiemi. W Krakowie była już przed sześcią laty wystawa rolnicza i przemysłowa z całej Galicyi; następnie w r. 1871 mieliśmy podobną wystawę w Białej, gdzie jednak

reprezentowane było tylko rolnictwo zachodniej części kraju, obok przemysłu szlaskiego, oraz Białej, Bielska i ich okolic. W rok potem miała miejsce znacznie mniejszych rozmiarów wystawa rolnicza w Tarnowie. Na rok przyszły istnieje zamiar urządzenia znowu większej wystawy rolniczej i przemysłowej z całej Galicyi, ale czyto: że niema jeszcze zapewnionych funduszy, czy też że braknie pozwolenia rządowego, dość iż o wystawie słyhać tyle tylko, że odbędzie się w pierwszej połowie czerwca. Nie wiadomo nie ani o programie wystawy, ani o jej zakresie, ani o warunkach, chociaż do czerwca mamy niewiele więcej nad pół roku, a wystawa aby udać się mogła, potrzebuje koniecznie rozgłosu, zachęty, długich nawoływań. Już to, prawdę rzekłszy, chorujemy na wystawy, urządzamy je za często w stosunku do powolnego wzrostu rolnictwa i przemysłu; trudno zaś obliczyć o ile wystawa sama przez się wywiera wpływ na rozwój ekonomiczny, o ile ułatwia zbyt towarów, czyli ruch handlowy, o ile popiera pastępowwsze poglądy na warunki ekonomicznego bytu. Wystawy czysto miejscowej natury, np. powiatowe, mogłyby z niezawodną korzyścią powtarzać się rok rocznie; ale większe wystawy krajowe możeby dość było ponawiać nie tak często. Tymczasem dzieje się trochę inaczej. Wystaw miejscowych wcale niema, ale za to co lat parę bywają wystawy noszące tytuł krajowych.

Wystawa miejscowa, powiatowa, mogłaby łączyć się z praktycznym celem. Możliwość tam dawać wskazówki gospodarowania, odwoływać się na rezultata zbiorów, przedsiębrać odpowiednie środki do spieniężenia produktów; byłyby to więc środki zachęty i postępu w rozwoju rolnictwa, byłyby to sposób skontrolowania stanu zamożności każdorocznej, a zatem i punkt wyjścia do pośpieszenia z pomocą, radą lub opieką pewnym gałęziom produkcji. W taki sposób możeby dały się tworzyć zapasy na miejscowe potrzeby, zawiązywać bezpośrednie stosunki z większymi targowiskami handlowymi i t. p. Rządziej wówczas przybywane wystawy krajowe, dałyby możność ogólnego zużytkowywania rezultatów częściowych i nowszych wynalazków. Tak jak dziś jest, na każdej wystawie widzimy tych samych wystawców, te same niemal przedmioty. Chyba jaki fabrykant zagraniczny wystąpi z nowością. Mało kto w kraju wie co się dzieje, a większa część średnich, oraz wszyscy właściciele odrobnej własności wcale nie mogą korzystać z tego co panowie uradzą. Rozdział podobny źle oddziaływa i trzyma kraj w zacofaniu, chociaż na wystawach gospodarstwo reprezentuje się w tak świetnych kolorach, że nasi sąsiedzi z Prus, Czech i Szlaska, mogą dziwić się, dla czego kraj tak zagospodarowany i tak bogaty, tak zarazem mało produkuje i tak narzeka na ubóstwo. Nie utrzymują wcale, aby same wystawy powiatowe mogły te stosunki odmienić, ale uważam je za jeden ze środków zespoienia celów i dążeń, bez którego nie można nigdy spodziewać się równomiernego rozwoju, a więc rzeczywistego postępu ekonomicznego kraju.

Wyszedł tu pierwszy numer „Przeglądu Krytycznego“ pisma poświęconego rozbirowi wszystkich dzieł polskich, tak naukowych jak literackich, z wyjątkiem politycznych, jako nie dających się krytykować ze stanowiska przedmiotowego. Redakcyja postarała się pozyskać współpracowników fachowych, tak, aby Przegląd mógł być dokładnym sprawozdawcą z ruchu piśmiennictwa polskiego i służyć dla każdego za wskazówkę do ocenienia wartości i treści pojawiających się nowych utworów. Żaden dział nie jest pominięty, a już w pierwszym zeszytcie znajduje się ocena 17 dzieł. Rozumie się, że rok 1874 nie znajdzie tam całkowicie pomieszczenia, ale usiłowaniem redakcyi będzie w roku następnym podawać rozbiory każdej nowości. Pismo to winnoby znaleźć rozpowszechnienie.

## Z DZIAŁU PRZYRODY.

(Dalszy ciąg).

Atomy Daltona.—Stałe stosunki ciał w związkach. —Cząsteczki materji.—Teorya Berzeliusa o dwóch biegunach elektrycznych w atomie.—Trwałość systematu Lavoisiera.—Odkrycie cyanu przez Gay-Lutsaca.—Wpływ tego odkrycia na ekonomię.—Chemia organiczna.—Pierwiastki elektro-dodatnie i elektro-ujemne Berzeliusa.Próżne jego usiłowania.Dumas i Liebig.—Działanie chloru na związki organiczne.—Teorya substytucyi.—Pojęcia Laurent'a.—Związki chemiczne jako systemata planetarne.—Typy.—Prace Laurent'a i Gerhardta.—Zniesienie różnicy między związkami organicznymi i nieorganicznymi.—Powątpiewanie ciepła miarą siły powinowactwa.

Inne jeszcze pojęcie teoretyczne pomogło do uzmysłowienia, jeśli się tak można wyrazić, teoryi elektro-chemicznej. Chcemy tu mówić o pojęciu atomów, które zapożyczone od Greków, ukazało się na początku tego stulecia. Podjęcie tej zapomnianej teoryi, należy się Daltonowi profesorowi chemii w Manchester. Była to nietyle teorya wypływająca ze spekulacyi czysto umysłowych, jak teorye starożytnych filozofów i szkoły Kartezjusza, ile uzmysłowione przedstawienie faktów dokładnie sprawdzonych, a mianowicie stałości stosunków, podług których ciała łączą się, stosunków zadziwiających prostotą w jakiej występują związki chemiczne. Dalton zauważył, że kiedy dwa ciała łączą się w kilku stosunkach, wtedy jeśli ilość (na wagę) jednego z tych ciał pozostaje niezmienna, to ilość drugiego ciała, zmienia się w stosunkach bardzo prostych. Tak np. węgiel wchodząc w związek z tlenem tworzy dwa ciała, jedno będące przyczyną czadu, znane pod nazwą tlenku węgla, w którym na 6 wag węgla przypada 8 wag tlenu, drugie zwane kwasem węglowym które jest połączeniem 6 wag węgla z 16 wagami tlenu.

Podług teoryi Daltona, materya napełniająca przestrzeń, nie jest podzielna do nieskończoności, ale składa się z niezmiernie małych cząsteczek niewidzialnych nawet za pomocą mikroskopu, cząsteczek niepodzielnych, które jednak mają rozciągłość rzeczywistą i pewną oznaczoną wagę. Cząsteczki te zupełnie identyczne w jednym cieple, różnią się w różnych ciałach odmienną wagą a może i kształtem. Powinowactwo wprawia je w ruch, skoro zaś dwa ciała łączą się z sobą, atomy jednego przyciągane są do atomów drugiego. Zbliżenie następuje zawsze w podobny sposób pomiędzy pewnymi oznaczonymi liczbami tworzących się atomów, które grupują się w tak zwane *molekule*, czyli cząsteczki, (także „drobinami“ zwane), już to łącząc się jeden z jednym już jeden z dwoma, albo dwa z trzema i t. d. według stosunków nader prostych, a dla jednych i tych samych ciał nigdy się nie zmieniających.

Stąd wypływa, że najmniejsze cząsteczki danego związku, przedstawiają zawsze stały stosunek wchodzących tam pierwiastków, ten sam, jaki przedstawia cała masa tego ciała, które ze związku jest utworzonem. Tak np. w dziewięciu funtach wody znajduje się 8 funtów tlenu („Kwasoród“ Jędrzeja Śniadeckiego) w połączeniu z 1 funtem wodoru („wodoród“ J. S.). Podobnież w 9 gramach wody znajdujemy 8 gramów tlenu i 1 gram wodoru. Tym sposobem, fakt najbardziej uderzający w całą Chemię—niezmiennosc stosunków w jakich ciała łączą się z sobą—przedstawia się jako następstwo podstawowej hipotezy, według której związki chemiczne powstają z połączenia się, lub też zbliżenia atomów mających niezmiennę wagę. Berzeliusz porównywał te atomy do małych magnesów, przypisywał im dwa bieguny, w których znajdują się dwie różnoimienne elektryczności, nierówno rozdzielone na oba bieguny. Według teoryi Berzeliusza znajdować się miały jedne atomy z nadmiarem elektryczności dodatniej; inne z nadmiarem elektryczności ujemnej; jedne przyciągać miały drugie, i to przyciąganie stanowiące istotę powinowactwa chemicznego, miało utrzymywać atomy w związkach chemicznych. W chwili tworzenia się związków chemicznych,



atomy wprawiane są w ruch; w związku zaś już utworzonym, znajdują się w spoczynku, jakoby podzielone na dwa obozy, jednocześnie zbliżone do siebie i utrzymywane w pewnej odległości, skutkiem przeciwieństwa dwóch płynów elektrycznych.

Tak więc hipoteza elektro-chemiczna, genialnie zastosowana do teorii atomów, utrzymała systemat dualistyczny Lavoisiera na stanowisku niewzruszonym w ciągu pierwszej połowy bieżącego stulecia. Znane wówczas związki można było wyrazić za pomocą tego systemu bez trudności i bogate materiały naukowe dostarczane przez pracowitych i genialnych eksperymentatorów szykowano według tego systematu.

W początkach bieżącego stulecia, wzbogacono chemię, odkrywając metale powstające przy rozkładzie zasad alkalicznych, przyjmując chlor za pierwiastek i odkrywając nowe pierwiastki jak selen, tellur, jod i inne. Na szczególną uwagę zasługuje odkrycie cyanu, które zawdzięczamy Gay-Lussacowi. Odkrycie to stanowi bardzo ważny krok w postępie nauki, albowiem ten związek węgla z azotem przedstawia w zachowaniu się w związkach z innymi ciałami, wszystkie charaktery ciała prostego czyli pierwiastku. Cyan może z różnymi pierwiastkami tworzyć najrozmaitsze związki, w których gra rolę ciała prostego; co więcej, znajdując się już w tych związkach, ulega podwójnemu rozkładowi podobnie jak chlor. Tak np. cyanek rtęci (merkuryusza) w zetknięciu z chlorowodorem (kwasem solnym), rozkłada się na chlorek rtęci (sublimat) i cjanowodór (kwas pruski). Oprócz cyanu odkryto inne związki złożone, zachowujące się tak jak ciała proste; związki takie nazwano pierwiastkami złożonymi. Teoria tych pierwiastków rozwija się szybko, a uwaga badaczy, zajętych dotąd przeważnie związkami nieorganicznymi, zwraca się ku związkom organicznym.

Niezliczone mnóstwo ciał wytwarzających rośliny i zwierzęta, składa się z kilku tylko pierwiastków. Węgiel, wodór, tlen i azot, oto cztery pierwiastki głównie wchodzące w skład ciał organicznych, siarkę zaś chlor, fosfor, selen, żelazo, potas, sod i inne, spotykamy rzadziej. Związki organiczne różnią się nietylko jakością pierwiastków w ich skład wchodzących, ile stosunkami i ugrupowaniem atomów wchodzących do związków.—Łącząc się w tym lub innym stosunku i grupując odmiennie, atomy tych czterech ciał wyżej wymienionych tworzą mnóstwo związków różniących się chemicznym charakterem. Jakież jest ugrupowanie tych atomów? jaka budowa tych cząsteczek organicznych tak różnych w swych własnościach, a jednak utworzonych z tych samych pierwiastków? Berzeliusz rozwiązał te pytania, bez wahania się grupując po jednej stronie węgiel i wodór jako ciała elektro-dodatnie, po drugiej tlen, jako ciało elektro-ujemne. Skoro zaś później wprowadzono sztucznie chlor do związków organicznych, atomy tego silnie działającego gazu, znalazły miejsce obok tlenu. Tak to wielki pracownik w dziedzinie chemii mineralnej, próbował grupować cząsteczki ciał organicznych na podobieństwo ugrupowania cząsteczek w związkach mineralnych, którymi tyle się zajmował. Berzeliusz chciał przenieść pomysły Lavoisiera dotyczące związków mineralnych, w dziedzinę związków organicznych, wkrótce jednak znalazł się na drodze bez wyjścia. W miarę jak gromadziły się bogactwa nauki, trzeba było dla podtrzymania teorii, wprowadzać hipotezy, wynajdywać pierwiastki, tworzyć wzory chemiczne coraz bardziej złożone. — Była to praca niewdzięczna, często bowiem fakta zdobyte na polu doświadczeń ścisłych, ustępowały rozumowaniom doprowadzonym do ostatecznego krańca i niepewnym subtelnościom. Te próżne usiłowania wielkiego chemika, zachwiały trwałą dotąd wiarę w teorię dualistyczną, stanowiącą podstawę teorii chemicznych, w pierwszej połowie bieżącego stulecia, czyli podstawę tak

zwanej niewłaściwie starej chemii. Odtąd zaczyna się tak zwana nowa chemia; wielkie odkrycia dokonane i wytłómaczone z wielką śmiałością nadały jej impuls trwający dotąd.

Czterdzieści lat temu w obozie przeciwników Berzeliusza, znajdowali się młodzi ludzie, na ich czele Dumas i Liebig poświęcający się z zapałem studowaniu związków organicznych.

Uczeni ci w przekonaniu, że prawdziwa budowa tych związków może być poznana tylko przez dokładne zbadanie ich własności i przekształceń, postawili sobie za zadanie, badać związki organiczne, przekształcać je działając na nie najrozmaitszymi odczynnikami chemicznymi, w nadziei odkrycia wewnętrznej ich budowy. Najwłaściwszą metodą chemiczną polega na oznaczeniu składu ciała, dokładnym zbadaniu jego własności i wskazaniu o ile to jest możliwym, ugrupowania składających go części. To ostatnie zadanie stanowi koronę chemii, a zarazem drogienny przyczynkiem, jaki nauka ta może dostarczyć do rozwiązania odwiecznej zagadki o budowie materii.

Z pomiędzy wielu odkryć dokonanych przez wspomnianych wyżej uczonych, jedno zasługuje na szczególną naszą uwagę, mianowicie poznanie działania chloru na związki organiczne. Chlor odbiera często związkom organicznym wodór i zajmuje miejsce tego ciała, czyli podstawia się, jak mówią chemicy, zastępując wodór, atom za atom, bez naruszenia równowagi międzycząsteczkowej, jakoteż bez zmiany podstawowych własności związku. Przeciwnicy wystąpili z zarzutem, że chlor nie może zastępować wodoru w związkach. Te dwa pierwiastki, mówi Berzeliusz, posiadają wprost przeciwne sobie własności i w braku jednego z tych ciał, nie można go drugim zastąpić, są to bowiem dwaj bracia nieprzyjaźni, wcale nie usposobieni do zamieszkiwania w jednym domu. Wszystkie te krytyki nie mogły zwalczyć niezaprzeczalnych faktów. Teoria substytucji wyszła zwycięsko z tej dysputy, stanowiącej epokę w historii chemii. Rozwój naturalny teorii substytucji, wprowadził do chemii stopniowo nowoczesne pojęcia o budowie związków chemicznych i o sposobie łączenia się pierwiastków tworzących te związki. Znakomity francuzki chemik Laurent, przedstawiał sobie związki organiczne jakoby utworzone z symetrycznie ułożonych atomów, przy czem oprócz jądra stanowiącego główną część związku znajdowały się części dodatkowe.—Dumas przedstawiał związki organiczne z różnych części, ułożonych na podobieństwo materiałów wchodzących do budowy gmachu. W tym gmachu części składowe, t. j. atomy, mogłyby być zastąpione przez inne za pomocą substytucji. Działanie silnych środków mogło ten gmach niweczyć. Podług pojęć Laurent'a i Dumas'a cząsteczki ciał uważane były jako tworzące całość. Nieco później Dumas przyrównywał związki organiczne do systematów planetarnych, upatrując w nich grupy atomów utrzymywane w równowadze przez siłę powinowactwa, a jednak znajdujące się w ruchu jak planety krążące w przestrzeni.

Tak zmieniały się pojęcia o budowie związków chemicznych pod wpływem pojęć o atomach oraz faktów konstatających wzajemnie zastępowanie się ciał w związkach. Atomy tworzą całość mniej lub więcej złożoną, dając przez podstawienie początek znacznej liczbie związków pochodnych (derivation) połączonych naturalnymi węzłami z macierzystym związkiem (typem), do którego są podobne. Pojęcie typów, wprowadzone tym sposobem do nauki, zajęło bardzo poważne miejsce. Teoria typów dała podstawę do racjonalnej klasyfikacji związków organicznych. Wszystkie związki utworzone z jednego ciała przez podstawienie pierwiastków, uszykowane zostały w jedną rodzinę czyli szereg, na czele szeregu szło ciało, od którego wszystkie dane związki pochodzą. Ztąd utworzyły się grupy ciał

całkiem między sobą różnych, a których liczba codziennie wzrasta. Pozostawało połączyć te pokolenia związków węzłem naturalnym. Myśl tę powzięli i wykonali Laurent i Gerhardt, niestety zbyt młodo straceni bezpowrotnie dla nauki. Laurent pierwszy wyrzekł, że pewna liczba związków mineralnych i organicznych, posiada budowę do budowy wody podobną. Williamson rozwinął tę myśl uogólnioną przez Gerhardta. Podług tego ostatniego chemika wszystkie związki organiczne i nieorganiczne dadzą się odnieść do niewielkiej liczby typów, z których najgłówniejszymi są: amoniak, woda i kwas solny. W tych związkach, prostych w swej budowie, pierwiastek ich może być zastąpiony przez inny albo przez grupę atomów grających rolę ciała prostego. Takim sposobem, podstawienia dają mnóstwo rozmaitych związków połączonych ze sobą podobieństwem budowy, a często podobieństwem własności chemicznych. Ciała więc należące do jednego typu jako podobne w swej budowie, mogły się bardzo różnić we własnościach zależnych nie tylko od ułożenia atomów, ale i od ich natury. Tak np. ciała mineralne i organiczne należące do typu wody, stosownie i do natury wchodzących w nie pierwiastków stanowią silne zasady, energicznie działające kwasy lub ciała obojętne. Tym sposobem upadał rozdział ciał mineralnych i organicznych. Pytano jednak słusznie dlaczego koniecznie wszystkie związki organiczne i mineralne miały być utworzone na wzór wody, amoniaku i kwasu solnego? Ten zarzut stał się powodem gruntownych rozpraw i zarodkiem istotnego postępu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Nakładem Księgarni S. ARCTA w Lublinie

w dalszym ciągu „Wydawnictwa pedagogiczno-szkolnego“ pod tytułem:

## SYSTEMATYCZNY KURS NAUK

Augusta Jeskiego

wyszła książka pod tytułem:

## ŚWIAT I DZIECI

Część 2-ga

obejmująca Naukę o Zwierzętach i Roślinach

Wyłożona w obrazach i szkicach zajmujących, z 15 tablicami kolorowanymi

dla dzieci od lat 7 do 10

cena (już w oprawie) Rs. 1 k. 50, przesyłką Rs. 1 k. 60

Skład Główny w Warszawie: w księgarni i składzie Nut muzycznych Michała Glücksberga przy ulicy Krakowskie Przedmieście, w domu JW. Hr. L. Krasieńskiego Nr. 7 (411). Dzieło to znajduje się również we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dalszy ciąg powieści **Middlemarch**.

TREŚĆ: Pogrzeb biedaka, (poezya). — Rodzina jako stowarzyszenie się do szczęścia (dalszy ciąg). — Niewiasta polska, (dalszy ciąg), przez K. Wł. Wójcickiego. — Historia o Janaszu Korczaku i o pięknej miecznikównie, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Korespondencya zagraniczna. — Z działu przyrody.